



*Maggie Stiefvater*

# BALLADA

TANIEC MROCZNYCH ELFÓW

PRZEŁOŻYŁA:  
Karolina Socha-Duško

  
illuminatio

TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*Ballad: A gathering of Faerie*

Redakcja: Agnieszka Stankiewicz  
Korekta: Natalia Celer  
Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska, Czartart  
Skład: skladigrafika@gmail.com

BALLAD: THE GATHERING OF FAERIE  
Copyright © 2009 Maggie Stiefvater  
Published by Flux,  
an imprint of Llewellyn Publications  
Woodbury, MN 55125 USA  
www.fluxnow.com

Copyright © for Polish edition by ILLUMINATIO Łukasz Kierus 2011

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2011  
ISBN: 978-83-62476-09-1



Wydawnictwo ILLUMINATIO Łukasz Kierus  
E-mail: [wydawnictwo@illuminatio.pl](mailto:wydawnictwo@illuminatio.pl)  
Dział handlowy: [zamowienia@illuminatio.pl](mailto:zamowienia@illuminatio.pl)

Książki wydawnictwa kupisz w:  
[www.CzaryMary.pl](http://www.CzaryMary.pl)  
[www.TaniaKsiazka.pl](http://www.TaniaKsiazka.pl)

## Leanan Sídhne\*

Przywykłam do roli łowczyni. Jeśli zobaczyłam coś, czego zapra-

gnęłam, węszyłam, tropiłam to, a w końcu przywłaszczałam. „To”, czyli „jego”, oczywiście. Lubiłam młodych, zdolnych, płci męskiej. Jak najprzystojniejszych. To dodawało smaku. Musiałam na nich patrzeć, nim umrą, więc czemu nie mieliby być ładni?

Nie byłam okrutna. Byłam szczodra. Wszyscy oni błagali o to, co im ofiarowałam: piękno, inspirację, śmierć. Zmieniałam zwyczajne życie każdego z nich w coś niezwykłego. Nie mogło ich spotkać nic lepszego – żadnego z nich.

Tak naprawdę byłam nie tyle łowczynią co dobroczyńcą.

Ale dzisiaj, w tym jesiennym lesie, nie byłam ani jednym, ani drugim. Ktoś mnie wezwał, wyrwał z mojej nieuchwytnej i niewidzialnej formy, aż znalazłam się w realnym ciele. Nie widziałam nikogo, ale ciągle wyczuwałam resztki czaru. Słyszałam własne kroki na suchych liściach i niepokoił mnie ich dźwięk. Czułam się bezbronna w tym krwawoczerwonym lasku, zbyt hałaśliwa i dobrze widoczna w postaci śmiertelnej dziewczyny – i nie byłam do tego przyzwyczajona. Dookoła czuć było palonym tymiankiem i liśćmi, czarami wezwania i jesiennymi ogniskami. Kiedy tylko zdołam zaczepić się o jakąś ludzką myśl, ucieknę stąd.

– Witaj, fejo.

Odwróciłam się i zdążyłam jedynie zobaczyć żelazny pręt zbrojeniowy walący mnie prosto w twarz.

---

\* Powinno wymawiać się: „Lianan Szi”. Jest to nazwa używana w Irlandii na określenie kobiety w formie elfa lub feja, która charakteryzuje się niezwykłą urodą, wykorzystywaną do uwodzenia utalentowanych mężczyzn, w szczególności muzyków i poetów. W zamian za natchnienie i inspirację, które ofiarowuje artystom, czepie od nich siły życiowe aż do chwili, kiedy wyczerpany wybranek umiera.

Utwórz wiadomość tekstową:

140/200

Do: James

Nadal jesteś jasnowidzem? Widzisz naszą przyszłość w TA? Mam wrażenie, że wydarzenia minionego lata ciągle nas prześladowają. A myślałam, że już po wszystkim.

Od: Dee

Czy wysłać wiadomość? t/n

Nie wysłano wiadomości

Czy zapisać wiadomość? t/n

Wiadomość będzie przechowywana przez 30 dni

Muzyka to moje życie.

Przed złożeniem dokumentów przeczytałem wszystkie broszury o szkole muzycznej Thornking-Ash. Dowiedziałem się, że szkoła będzie rozwijała nasze dobrze zapowiadające się zdolności muzyczne. Obiecywano naukowe wyzwania. Broszurki snuły wizje wszechstronnie utalentowanych supernastolatków, którzy po zakończeniu szkoły średniej władają umiejętnościami naukowymi, pozwalającymi pokonać elitarne uczelnie Ivy League jednym ciosem przedmiotów nadprogramowych.

Myślałem sobie wtedy: „No fajnie”. Poza tym Dee się tam wybierała, więc ja też musiałem.

Tak jednak było, zanim faktycznie wyjechałem. Na miejscu okazało się, że szkoła to szkoła; Margaret Thatcher powiedziałaaby: „Jak zwał, tak zwał”. Owszem, byłem w Thornking-Ash dopiero siódmy dzień, więc może nie miałem pełnego obrazu, ale cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną, i szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, jak zajęcia z teorii muzyki i spanie w internacie miało odróżniać nas w jakikolwiek sposób od uczniów zwykłej szkoły średniej.

Czułbym się chyba inaczej, gdybym grał na jakiejś cholernej wiolonczeli albo czymś takim: mógłbym wtedy dołączyć do jednego z ośmiu milionów zespołów działających w kampusie. Kiedy ludzie mówią „muzyk”, jakoś nigdy nie mają na myśli dudziarza.

Jeśli jeszcze raz usłyszę „muzyk ludowy”, to komuś przyłożę.

W każdym razie od pierwszego do szóstego dnia byliśmy (ja i reszta klasy) „wprowadzani”. Poznawaliśmy miejsca, w których się odbywają zajęcia, jak nazywają się nauczyciele, kiedy w stołówce są podawane posiłki, dowiedzieliśmy się też, że drzwi na czwartym piętrze w moim internacie się zacinają. Piątego dnia wiedziałem już, o co chodzi. Szóstego weszło mi to w nawyk. Siódmego – zacząłem się nudzić.

Tego właśnie wieczora siedziałem w samochodzie mojego brata i słuchałem muzyki – chociaż serwowanej na wścickło – pobrzmiwającej nutą tęsknoty. Przeczytałem gdzieś o tym, jak naukowcy przeprowadzali badanie, w czasie którego jednej grupie szczurów puszczały rocka, a drugiej – muzykę klasyczną. Nie pamiętam szczegółów, ale po kilku tygodniach eksperymentu szczury, które słuchały muzyki klasycznej, spokojnie wspinały się po drabinie kariery i nosiły skarpetki do sandałów, a szczury, którym puszczały rocka, stały się kanibalami i rozrywały się na kawałki. Nie jestem pewien, co miał udowodnić ten eksperyment i nie orientuję się, czego słuchały „rockowe” szczury. Wiem tylko, że gdybym musiał słuchać bez przerwy Pearl Jamu przez dwa tygodnie, to też zjadłbym swojego współlokatora.

Tak czy siak był to na pewno siódmy wieczór, bo miałem siedem znaczków na wierzchu prawej dłoni. Sześć pionowych kresek i jedna pozioma, która je przekreślała. Siedząc w swoim własnym małym świecie o szarym wnętrzu, podkręciłem basy tak bardzo, że czułem je w pośladkach. W internacie obowiązywał nakaz zachowania ciszy, zwłaszcza kiedy uczniowie mieli ćwiczyć, więc trudno było znaleźć miejsce, żeby posłuchać muzyki. To właśnie nazywa się ironia.

Patrzyłem, jak zachodzące słońce zostawia czerwoną smugę za budynkiem internatu. W przeciwieństwie do innych georgiańskich gmachów z kolumnami ten nie rościł sobie jakichkolwiek pretensji

do bycia ładnym. Było to zwykłe pudełko z tysiącami niemrugających oczu w postaci okien.

Muzyka w samochodzie grała tak głośno, że z początku nie usłyszałem pukania w okno. Twarz pukającego dziwnie mnie zaskoczyła: okrągła, pospolita, niepewna siebie. To był Paul, mój współflokator, który grał na oboju.

W szkole sądzono chyba, że się dogadamy, bo obydwaj gramy na instrumentach dętych, bo poza tym kompletnie nic nas nie łączyło. Otworzyłem okno.

– Chcesz do tego frytki? – zapytałem.

Paul roześmiał się o wiele głośniejszym głosem niż wymagał tego żart, i zrobił minę, jakby był z siebie dumny. Chyba się mnie bał.

– Dobrze, stary.

– Do usług. Co tam?

– Szedłem właśnie do pokoju, żeby zrobić... no wiesz. – Pomachałem zeszytem, jakby miało mi to coś powiedzieć. – Zadanie z różniczkowania. Nadal chcesz się tym zająć?

– Chcę? Nie. Muszę? Tak. – Ściszyłem radio. Nagle zdałem sobie sprawę, że mimo gorąca mam gęsią skórę. Wystawiłem rękę na zewnątrz samochodu. Moja podświadomość jasnowidza szeptała w niezrozumiałym języku, zalewając mnie falą zimna, i dyskretnie ostrzegła: „Dzieje się tu coś niedobrego”. Było to uczucie, które uznałem już za przeszłość, bo nie czułem tego od początku wakacji. Zmusiłem się, by spojrzeć na Paula. – Tak, jasne.

Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz ulgi, jakby się spodziewał, że mu odmówię. Zaczął paplać o naszym nauczycielu, o różniczkowaniu, o kolegach z klasy. Gdybym nawet nie był skupiony na tym, jak lodowata strużka potu spływa mi po skórze, nie zwróciłbym uwagi na jego gadaninę. Ludzie za dużo mówią; jeśli posłucha się tylko początku i końca, środkiem wypowiedzi nie trzeba się zajmować. Nagle jedno sformułowanie Paula zwróciło moją uwagę, jakby



jeden głos oderwał się od pozostałych. Przekręciłem gałkę i wyłączyłem radio.

– Powiedziałeś: „Tak śpiewają zmarli”.

Paul zmarszczył brwi.

– Co?

– Tak śpiewają zmarli. Powiedziałeś to?

Pokręcił stanowczo głową.

– Nie. Powiedziałem: „To śpiewają z nami”. Miałem zajęcia ze śpiewu z nut. Prowadzi je...

Otworzyłem drzwiczki i pokiwałem głową, zanim skończył zdanie. Nawet bez radia słyszałem muzykę. Ciągnęło mnie do niej, była ważniejsza, niż Paul kiedykolwiek mógł się stać.

Spróbowałem dobrać słowa i odezwać się do niego pełnym zdaniem.

– Hej, spotkamy się w pokoju za parę minut, dobra? Za parę minut.

Zupełnie jakby to źle usłyszane sformułowanie: „Tak śpiewają zmarli” otworzyło drzwi, przez które zaczęła dobiegać muzyka. Niecierpliwa nachalna muzyka: wznosząca się molowa melodia z mnóstwem dziwnych archaicznych alteracji. Nucona niskim męskim głosem, który przypominał mi wszystko, co niedostępne. Paul wybąkał słowa zgody, a ja wysiadłem z samochodu, zatraskując drzwi.

– Muszę biec – powiedziałem.

– Nie wiedziałem, że biegasz – odrzekł Paul, ale mnie już nie było.

Popędziłem przez parking koło kwadratowych internatów, minąłem Kolegium Yanceya z kremowymi kolumnami i Kolegium Sewarda z fontanną ze śmiejącym się satyrem. Moje trampki kłapały po wykładanym kostką chodniku w rytm pieśni, poddając się jej przyciąganiu.

Muzyka przybierała na sile, mieszając się z tą w mojej głowie – tkaniną jasnowidzenia, która dawała orientację, podpowiadając, gdzie



jest moje miejsce na ziemi. Brukowany chodnik skończył się, ale ja biegłem dalej, potykając się w nierównej, wybujałej trawie. Czulem się tak, jakbym zeskakiwał z krawędzi świata. Popołudniowe jesienne słońce jaśniało zza pagórków, a ja zdołałem tylko pomyśleć, że jestem spóźniony.

I oto nadszedł – kimkolwiek był – oddalony, ledwie dostrzegalny na wzgórzach. Był właściwie sylwetką, ciemną postacią nieokreślonego wzrostu, zarysowaną na bezkresnym grzbiecie wzgórza oślepiającego złota. Jego ręce były wyciągnięte wzdłuż boków, opadając w dół w geście zdającym się nakazywać ziemi, by znieruchomiła. Zanim oddalił się na tyle, że przestałem go dostrzegać na tle ciemnych drzew, zatrzymał się.

Muzyka brzmiała dalej, była głośna, słyszałem ją jakby w słuchawkach, jakby mój mózg tworzył ją dla siebie samego. Ale teraz już wiem, że nie była skierowana do mnie. Była przeznaczona dla kogoś lub czegoś innego. Po prostu miałem pecha ją usłyszeć.

Czulem się zdruzgotany.

On odwrócił się w moją stronę. Przez dłuższą chwilę stał przodem do mnie. Byłem przykuty do ziemi, zakotwiczony w niej, ale nie przez jego muzykę, która zagłuszała muzykę w mojej głowie i ciągle wzywała: „Rośnij, wstawaj, chodź”, tylko przez jego niezwykłość – przez palce, rozpostarte nad ziemią, jego ramiona, kanciaste, świadczące o sile i niezwykłości, a przede wszystkim przez olbrzymie, sękaty poroże wyrastające z jego głowy, rozpościerające się na tle nieba jak gałęzie.

Potem zniknął. Nie zauważyłem jego odejścia i zabrakło mi jego obecności w chwili, kiedy słońce zapadło za krawędź pagórka, pozostawiając świat zmierzchowi. Zostałem, lekko zdyszany, czulem pulsowanie w bliźnie nad lewym uchem. Wpatrywałem się w miejsce, gdzie wcześniej stał. Nie mogłem się zdecydować, czy żałuję, że zobaczyłem roгатą postać i chciałbym wrócić do codzienności, czy

wolałbym dotrzeć tu wcześniej, aby się dowiedzieć, dlaczego znowu widzę takie postaci.

Trzeba było wracać do szkoły, ale zanim zdążyłem się odwrócić, coś twardego szturchnęło mnie na wysokości pasa i ledwo utrzymałem równowagę. Właścicielka ciała wydała okrzyk: „O Boże, przepraszam!”.

Głos był znajomy: to Deirdre. Moja przyjaciółka. Czy mogłem ją nadal tak nazywać?

– Nic się nie stało – wydusiłem. – Nie potrzeba mi do życia obu nerek.

Deirdre obróciła się. Miała zarumienioną twarz. Mina zmieniła jej się tak szybko, że zdążyłem zapomnieć, jaka była wcześniej. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Widziałem ją ostatnio w wyobraźni tyle razy – zwłaszcza jej szare oczy dominujące nad drobną twarzą – że dziwnie było zobaczyć ją na jawie.

– James, James! Widziałeś Ich? Musieli przejść tuż obok ciebie!

Byłem zmuszony wziąć się w garść.

– Jacy Oni?

Odsunęła się ode mnie, mrużąc oczy, by spojrzeć na wzgórze, w stronę, gdzie powoli zapadał zmrok.

– Fejowie. Nie wiem... Czterech? Pięciu?

Przerząła mnie totalnie; poruszała się tak szybko, że jej krótko obcięty ciemny kucyk zataczał kółka.

– Dobra, Dee, czekaj, stój spokojnie. Dostanę przez ciebie choroby morskiej. Jak to fejowie? Znowu?

Deirdre zamknęła na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, nie była już taka narwana.

– Głupota. Wariuję chyba po prostu. Mam wrażenie, że widzę Ich wszędzie.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. W sumie boleśnie było patrzeć na nią w sposób, o jakim już zapomniałem. Czułem się jakby

ktoś wyciągał spod mojej skóry powoli drzazgę. Dziewczyna pokręciła głową.

– Jak można być takim głupkiem? Naprawdę od wieków cię nie widziałam, a już kwiczę w ciągu pierwszych pięciu minut. Powinnam wyłączyć ze skóry z radości. Przepraszam, nawet nie miałam okazji się jeszcze z tobą spotkać.

Pomyślałem przez moment, że po „przepraszam” będzie coś jeszcze. Coś głęboko znaczącego, co udowodni, że ona rozumie, jaką sprawiła mi przykrość.

Kiedy się tak nie stało, naprawdę miałem ochotę się naburmużyć i sprawić, żeby jej było źle, ale nie miałem na to dość odwagi. Zamiast tego przybyłem z pomocą jak szarmancki masochistyczny idiota, którym zresztą jestem.

– Cóż, w folderach stało przecież jak byk, że kampus ma ponad piętnaście akrów. Mogliśmy się tu mijać całymi latami.

Deirdre przygryzła wargę.

– Nie miałam pojęcia, że plan zajęć będzie taki pokręcony. Ale... no... cieszę się, że cię widzę.

Nastąpiła długa niezręczna cisza i zazwyczaj byśmy się uścisnęli. Tak było aż do ostatnich wakacji, aż do Luke'a i mojego SMS-a, o którym żadne z nas nie umiało zapomnieć.

– Ale się opaliłaś – powiedziałem. Kłamstwo, Dee się nie opalała.

Dee niby się uśmiechnęła.

– Ostrzygłeś się.

Przesunąłem ręką po głowie, zatrzymując palce nad świeżą blizną nad uchem.

– Musieli mi ją ogolić, żeby założyć szwy. Zgoliłem całą, żeby było równo. Chciałem sobie wygolić moje inicjały, ale pewnie cię to zdziwi, dopiero wówczas do mnie dotarło, że brzmią one „JAM”, zupełnie jak „dzem”. Upokarzające.

Dee się roześmiała. Absurdalnie, ale sprawiło mi to przyjemność.

– Nawet do ciebie pasuje – powiedziała. Patrzyła na moje ręce i na bazyliki pokrywające je aż do nadgarstków. Nie zostało dużo wolnego miejsca. Chciałem się dowiedzieć, co u niej, zapytać o fejów, o SMS-a, ale nie mogłem powiedzieć niczego ważnego.

– Lepiej do mnie niż do ciebie.

Roześmiała się znowu, nie był to prawdziwy śmiech, ale nie szkodzi, bo tak naprawdę nie chciałem zabrznieć zabawnie. Chciałem po prostu coś powiedzieć.

– Co wy tu robicie?

Oboje z Dee odwróciliśmy się i stanęliśmy twarzą w twarz z nauczycielką Eve Linnet. To ta od dramaturgii. W słabym oświetleniu przypominała małego bladego ducha. Jej twarz może byłaby ładna, gdyby nie ten grymas:

– To nie jest teren szkoły.

Coś mi nie pasowało, chociaż jeszcze nie wiedziałem co. Linnet przyszła ze strony wzgórz, nie od szkoły. Wysunęła szyję, wydawało się, że dopiero teraz zauważyła Deirdre. Twarz Dee była czerwona, jakbyśmy zostali przyłapani na czymś niewłaściwym.

– Nie wiem, do jakich szkół wcześniej chodziliście, ale tu nie pozwala się na takie zachowanie – powiedziała kąśliwie.

Aż do ostatnich wakacji zażartowałem jakoś na temat mnie i Dee – że jestem niewolnikiem jej miłości od urodzenia albo że nic się nie dzieje, bo Dee jest uczulona na pewne chemikalia wydzielane przeze mnie. Ale powiedziałem tylko: „To nie to, co pani ma na myśli”.

Wiem, że to brzmiało jak przyznanie się do winy, i ona na pewno też tak pomyślała, bo odrzekła: „Och, tak? To co wy tu robicie?”.

Bingo. Popatrzyłem w stronę wzgórz, a jej wzrok od razu podążył za moim.

– Czekaliśmy na panią.

Dee spojrzała na mnie ostro, ale nie tak jak pani Linnet. Tamta miała zły czy też zaleźniony wyraz twarzy. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. W końcu odezwała się:

– Nikt z nas nie powinien teraz tutaj być. Wracajmy do internatu, a ja po prostu zapomnę o całej sprawie. To bardzo zły początek roku szkolnego.

Kiedy pani Linnet odwróciła się, by nas odprowadzić do szkoły, Dee posłała mi pełne podziwu spojrzenie, a potem przewróciła oczami w stronę nauczycielki, co znaczyło: „Wariatka!”.

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się do Dee. Nie miałem jednak wrażenia, że Linnet ma problem z głową. Może nie tylko ja popędziłem na spotkanie z tamtą muzyką.

Utwórz wiadomość tekstową:

194/200

Do: James

Wczoraj było dziwnie. Brakuje mi naszego gadania. Nie, żebyś chciał słuchać tego, co ja teraz myślę. Np. o Luke'u. Wiem teraz, co to znaczy złamane serce. Robi mi się niedobrze, kiedy o nim myślę.

Od: Dee

Czy wysłać wiadomość? t/n

Nie wysłano wiadomości

Czy zapisać wiadomość? t/n

Wiadomość będzie przechowywana przez 30 dni

**D**zień jedenasty według kresek na lewej ręce. Pierwszy tydzień: wszystkie łatwe zajęcia organizacyjne i proste zadania skończyły się; drugi tydzień pokazywał już swoje pazury. Pojawiły się gigantyczne prace domowe, zapisywanie tablic i zwyczajne przecieranie spodni od siedzenia. To śmieszne, ale wcześniej naprawdę wydawało mi się, że szkoła wypełniona muzycznymi talentami będzie się różnić od zwykłej szkoły średniej. W rzeczywistości tylko jedna rzecz była inna: dzieliliśmy się na różne grupy w szkole w zależności od miejsca zajmowanego w orkiestrze. Instrumenty dęte: chuligani; drewniane: snoby; strunowe: kujony z wiecznie podniesionymi rękami; perkusyjne: klasowi jajcarze; dudziarze: ja.

W drugim tygodniu wyróżniły się jedynie lekcje angielskiego z panem Sullivanem; w pierwszym semestrze odbywały się we wtorki, czwartki i soboty. Kofeina we własnym zakresie. Pozwalał nam pić kawę w sali. Byłaby to hipokryzja, gdyby nie pozwolił.

Sullivan zaczął rok szkolny, siedząc przy biurku i puszczając w czasie zajęć muzykę z wieży. Podczas gdy inni nauczyciele zeszytnieli i spowaznieli w drugim tygodniu, on pozostał taki sam – młody, drobiazgowy głosiciel Szekspira i całej reszty. Zadał nam mordercze lektury do przeczytania już w pierwszym tygodniu, co potem zresztą się nie zmieniło. Może bardziej przejęlibyśmy się tymi lekturami, gdyby nie pozwolono nam na spożycie kofeiny i przestawianie



ławek w dowolne konfiguracje czy przeklinanie, kiedy zachodziła potrzeba.

– Będziemy omawiać „Hamleta” – oświadczył Sullivan jedenastego dnia. Miał w ręce wielgachny kubek turystyczny. Całą klasę wypełniał zapach kawy. Nigdy nie widziałem Sullivana bez kawy. Jako młodszy wykładowca mieszkał w kampusie i w dodatku był kierownikiem naszego internatu. Jak głosiła plotka, żona zostawiła go dla szefa firmy produkującej jakieś byle co, kucyki My Little Pony czy coś podobnego. Przed jego pokojem zawsze unosił się zapach kofeiny tak, jak świętynię spowija woń kadzidła. – Ile osób czytało?

Grupa była mała nawet jak na standardy Thornking-Ash: ośmioro uczniów. Nikt nie podniósł ręki.

– Barbarzyńcy – miło oświadczył Sullivan. – Cóż, to chyba lepiej, że jesteście dziewicami. Ale na pewno choć o nim słyszeliście.

Zabrzmiało potwierdzające mamrotanie. Ja nie czytałem „Hamleta”, ale byłem z Szekspirem w dobrych stosunkach. Od chwili kiedy usłyszałem: „Świat jest sceną, a kobiety i mężczyźni to aktorzy”, lubiłem Szekspira. Nie byłem fanem, potajemnym kumplem, czy kimś takim, ale gdybym mijał go na korytarzu, to pozdrawiałbym go kiwnięciem głową.

Sullivan naciskał dalej:

– Dobrze, zacznijmy od tego, co wam przychodzi do głowy, kiedy słyszycie słowo „Hamlet”? Nie, Paul. Nie podnoś ręki, po prostu powiedz.

– „Hamlet” oznacza osadę, przysiółek – powiedział Eric. Chłopak właściwie się nie uczył. Miał chyba być pomocnikiem nauczyciela, ale niech mnie diabli, jeśli widziałem, żeby chociaż raz pomógł Sullivanowi w czymkolwiek. – Prawda? Małą wioskę w Alpach szwajcarskich, coś takiego.

Była to tak głupia odpowiedź, że reszta grupy od razu się rozluźniła. Poprzeczka została ustawiona na tyle nisko, że można było palnąć cokolwiek.

– Duchy – rzekła Megan. Była wokalistką. Wokaliści irytowali mnie, bo trudno ich było przyporządkować do kategorii osobowości orkiestrowych, które ułożyłem sobie w głowie.

– Być albo nie być! – zawołał Wesley, który też miał na imię Paul, więc dla ułatwienia używał swojego nazwiska, co było miłe z jego strony, zważywszy że mój współlokator Paul nazywał się Schleiermacher. Miałem problemy z zapisaniem tego nazwiska, a co dopiero wymówieniem.

– Umiera się – dodał Paul. Nie wiem czemu, ale przypomniało mi to o postaci z porożem, którą zobaczyłem za szkołą.

– Samobójstwo – powiedziałem – i Mel Gibson.

– Mel Gibson? – zapytał Eric, który siedział za mną.

Sullivan wskazał na mnie:

– A więc, panie Morgan, zna pan „Hamleta”?

– Pytanie było nie takie – zauważyłem. – Pan zapytał, czy czytaliśmy. Zobaczyłem fragment filmu w telewizji. Miałem wrażenie, że Gibson gra lepiej, kiedy ma na sobie kilt.

– À propos... uwagi o filmie, nie o kilcie. Najpierw zobaczymy film, tyle że wersję nie z Melem, przykro mi, James, a potem przeczytamy dramat. – Sullivan wskazał na telewizor stojący za nim.

– Dlatego właśnie to przyniosłem. Tylko... – rozejrzał się po sali; ławki były ustawione kręgiem, a my oczekiwaliśmy słów mądrości z jego ust. – Tylko się obawiam, że tyłki wam się rozplaszczą od oglądania filmu na tych krzesłach. Trzeba nam czegoś lepszego. Kto ma silne ręce?

Tak więc przynieśliśmy z holu na pierwszym piętrze dwie kanapy. Jedną dźwigały cztery osoby. Idąc korytarzem, mijaliśmy zamknięte drzwi do innych klas. Gdy dotarliśmy do naszej klasy, Sullivan pomógł nam ustawić kanapy pod ścianą i zasunął zasłony, żebyśmy nie musieli wyteżać wzroku, patrząc w ekran.

Chociaż był jeszcze dzień, w pomieszczeniu zrobiło się ciemno.

Usadowiliśmy się wygodnie; nauczyciel postawił swoje krzesło tak, żeby siedzieć koło nas. Obejrzelśmy pierwszy akt „Hamleta” (Hamlet zdecydowanie nie miał dystansu do siebie). Sullivan nie protestował, kiedy żartowaliśmy z bardziej melodramatycznych fragmentów (czyli właściwie z całości). Po raz pierwszy od przyjazdu poczułem się prawie jak u siebie.

Utwórz wiadomość tekstową: 140/200

Do:

Kiedy zobaczyłam fejów, myślałam, że zobaczę też Luke'a. Ale jego nie było. Dziwnie jest tu, w TA. Jakby się miało iść do nieba, a tam wcale nie niebo, tylko Cleveland.

Od:

Czy wysłać wiadomość? **t/n**

Nie wysłano wiadomości

Czy zapisać wiadomość? **t/n**

Wiadomość będzie przechowywana przez 30 dni

**K**olejny nieznośnie piękny jesienny dzień w krainie szkoły o podwójnej nazwie. Drzewa w kotlinie ciągle były zielone, ale na tych, które rosły na północnych stokach wzgórz otaczających dolinę, liście zaczynały już płonąć czerwienią i pomarańczem. Ta kombinacja nadawała jej nienaturalny wygląd makiety zabawkowej kolejki.

Radio w samochodzie było nastawione na głośność „irytującą”, i pewnie przez to właśnie nie usłyszałem komórki. Dopiero światełko, które dostrzegłem kątem oka, poinformowało mnie, że ktoś dzwoni.

Może w końcu Dee.

Pochwyciłem komórkę z siedzenia pasażera i spojrzałem na numer. Mama. Ech! Włączyłem głośnik i umieściłem telefon na desce.

– Tak?

– James?

– Tak.

– Kto mówi?

– Twój drogi syn. Owoc łona twojego. Owoc lędźwi taty, który po Bóg wie ilu latach bycia jeno błyskiem w jego oku...

Mama przerwała mi:

– Brzmisz jak w rurze.

– Jadę samochodem.

– Przez rurę?

Pochyliłem się, przysuwając telefon bliżej.

– Włączyłem głośnomówiący. Teraz lepiej?

– Nie bardzo. Jak to prowadzisz? Przecież masz być w szkole, co?

Przyczepiłem telefon do osłony przeciwsłonecznej. Pewnie nadal było dość głośno, ale nie mogłem zrobić niczego lepszego.

– Skoro o tym wiesz, to czemu teraz dzwonisz?

– Czy ty się tniesz?

Przyglądałem się tabliczkom z nazwami ulic. Na jednej z nich przeczytałem: „Stare Miasto Gallon, Wirginia” („Wirginia” nie było potrzebne, bo każdy przybysz zdążył się już chyba zorientować, w jakim jest stanie); strzałka wskazywała w lewo.

– Nie, mamo. Tną się frajerzy, którzy idą do więzienia, bo nie mogą znaleźć pracy.

Mama rozpoznała swoje własne słowa, które w dodatku wymówiłem piskliwym głosem, naśladując jej lekki szkocki akcent. Zamilkła.

– To prawda – przyznała. – Co robisz?

Zerkając na malowniczą, lecz zacofaną ekonomicznie główną ulicę Gallon, odrzekłem:

– Jadę na lekcję. Zanim zapytasz: lekcję gry na dudach. Zanim zapytasz: nie, Thornking-Ash nie ma nauczyciela gry na dudach. Zanim zapytasz: nie mam pojęcia, dlaczego dali stypendium chłopakowi, który gra na dudach, w świetle kwestii poruszanej w niezadanym pytaniu numer dwa. Uczniowie Thornking-Ash, w tym ja, musieli zdobyć dwa punkty z przygotowania do występów, aby wyćwiczyć „muzyczne mięśnie” potrzebne nam do skutecznego uwodzenia uniwersytetów. Stąd lekcje gry na dudach.

– Hm, a co to za facet? Sensowny? – W głosie mamy słycać było powątpiewanie.

– Mamo, nie chcę o tym myśleć. To mnie przybija, a wiesz, że wolę pokazywać światu nieustraszoną i pogodną twarz.

– Przypomnij mi w takim razie, po co pojechałeś, jeśli nie dla dud? Świetnie wiedziała po co, ale chciała, żebym ja to powiedział. Ha, ha. I jeszcze raz: ha, ha. Nie ma mowy.

– Użyj matczynej intuicji. O, chyba znalazłem to miejsce. Muszę kończyć.

– Zadzwoń – odpowiedziała mama. – Potem. Jak nie będziesz taki zblazowany.

Zaparkowałem przed sklepem Evans-Brown Music. Zaczynałem mieć wrażenie, że w tym mieście podwójne nazwy są tradycją.

– Jasne. Umówimy się na rozmowę, gdy skończę trzydziestkę, dobrze?

– Zamknij się. – Głos mamy był tak ciepły, że przez chwilę poczułem niesamowitą dziecięcą tęsknotę za domem. – Brakuje nam ciebie. Uważaj na siebie. I zadzwoń potem, ale wcześniej niż po trzydziestce.

Obiecałem i rozłączyłem się. Wyciągnąłem dudy z tylnego siedzenia i skierowałem się do sklepu muzycznego. Mimo wściekle zielonej elewacji wewnątrz z jego ciemnobrązową wykładziną i złocisto-brązowymi ścianami ledwo widocznymi zza szeregów gitar było ciepło i zachęcające do wejścia. Starszy facet, który wyglądał tak, jakby nie do końca pożegnał się z latami sześćdziesiątymi, siedział za ladą i czytał „Rolling Stone”. Kiedy spojrział znad lektury, zobaczyłem, że jego srebrne włosy były z tyłu ciasno splecione w małeńki warkoczyk.

– Przyszedłem na lekcje – powiedziałem.

Popatrzył na ladę. Kiedy miał odwrócony wzrok, przyjrzałem się tatuażom na jego ramionach; największy z nich był cytatem z jednej z radykalnych piosenek Johna Lennona.

– Na którą? – zapytał.

Pokazałem rękę. Zmrużył oczy, żeby zobaczyć wypisaną notatkę.

– Na trzecią? No to jesteś na czas.

Spojrzałem na zegar, który wisiał na ścianie za moim rozmówcą, otoczony ulotkami i pocztówkami. Wskazywał za dwie trzecia. Zirykowało mnie, że moje wczesne przybycie zostało dopasowane do najbliższej pełnej godziny, ale nie odezwałem się.

– Na górę. – Podstarzały hipis pokazał w kierunku zaplecza. – Tam, gdzie jest Bill. Teraz nie ma innych instruktorów.

– Dziękuję, towarzyszu – powiedziałem, a podstarzały hipis uśmiechnął się do mnie.

Wspiąłem się po skrzypiących wyściełanych schodkach na piętro, gdzie panował żar jak w Hadesie i czuć było potem i nerwami. W ciemnym wąskim korytarzu znajdowało się troje drzwi, Bill był za drugimi z nich. Pchnąłem drzwi; gdy wszedłem do środka, zauważyłem dźwiękochłonne płytki na ścianach, stare drewniane krzesła wyglądające tak, jakby służyły za drapaki małym tygryskom, i szpakowatego człowieka siedzącego na jednym z tych krzeseł.

Był strasznie podobny do George'a Clooneya. Chciałem mu o tym powiedzieć, ale stwierdziłem, że byłoby to zbyt poufałe.

– Hej! Jestem James.

Nie wstał, ale uśmiechnął się dość przyjaźnie, uściśnął mi rękę i wskazał krzesło naprzeciwko.

– Jestem Bill. Może wypakujesz przebierkę i zagrasz mi coś, żebym wiedział, co potrafisz? Jeśli się denerwujesz, możemy najpierw pogadać, chociaż półgodzinna lekcja to za mało, żeby ją w całości przegadać.

Postawiłem futerał, uklęknałem obok i odpiąłem zatrzaski.

– Nie, mogę zagrać. – Grzebiąc w poszukiwaniu przebierki, zerknąłem na Billa.

Głowę zwrócił nieco na bok i czytał nalepki na futerałach. Kiedy dotarł do napisu: „Uwaga na smoki, albowiem jesteś chrupiący i smaczny z keczupem”, posłałem mu szybkie spojrzenie. Jego przebierka leżała obok krzesła, nowa i lśniąca. Moja była poobijana; taśma



izolacyjna w wielu kolorach zakrywała częściowo niektóre otwory dla lepszego stroju. Jego barki były proste. Ja trzymałem jedno ramię trochę wyżej od częstego grania na dudach. Futerał Billa wyglądał prawie jak nowy. Mój sprawiał wrażenie, jakby kilka razy przeszedł przez piekło. Zaczynało do mnie docierać, że tracę czas, zwłaszcza kiedy oczy otworzyły mu się szerzej na widok mojej przebierki.

Włożyłem instrument z powrotem do futerału. Skromna przebierka do ćwiczeń to plastikowa wersja piszczałki melodycznej w dudach, której główną zaletą jest to, że jest tysiąc razy cichsza niż właściwy instrument, co tysiąckrotnie zmniejsza prawdopodobieństwo zostania ukamienowanym za ćwiczenia w domu. Gra na niej jest także o wiele łatwiejsza – nie trzeba pompować powietrza w worek i tak dalej. Brzmi mniej więcej jak konająca gęś. Aby zrobić wrażenie, trzeba mieć prawdziwe dudy. Po nie właśnie sięgnąłem.

– Hmm. A czy mogę zagrać melodię na moich dudach? W kampusie trudno znaleźć miejsce, gdzie mógłbym poćwiczyć; wydaje mi się, jakbym wieki nie wyjmował ich z pudła.

Bill chyba się trochę zdziwił, ale wzruszył ramionami i powiedział:

– Pewnie. Nie ma teraz innych uczniów. Jeśli tak ci wygodniej. Co zagrasz?

– Jeszcze nie wiem.

Wyjąłem dudy. Zapach skóry i drewna, z których były wykonane, przypominał mój własny. Piszczałki burdonowe ułożyły się zgrabnie na moim ramieniu, kiedy napełniałem worek powietrzem. Kiedy zabrzmiały, zdałem sobie sprawę z tego, jak głośno będzie w tym małym pomieszczeniu. Potrzebne były zatyczki do uszu.

Przez jakieś dwadzieścia sekund Bill patrzył, jak stroję dudy, obserwował moją pozycję, słuchał, jak równo trzymam dźwięk w czasie strojenia. Planowałem zacząć wolno, a potem przejść do tak porywającej i mistycznej melodii, że Bill zacznie całować moje buty. Niestety, piszczałki hałasowały tak głośno w małym pokoiku, że

chciałem szybko zakończyć granie. Przeszedłem do jednego z moich ulubionych szkockich tańców. Była to niemożliwie wymagająca dla palców melodia, którą mógłbym zagrać nawet przez sen. Szybka. Czysta. Idealna.

Twarz Billa była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Jakbym startł mu mimikę samym poziomem hałasu, jaki wywołałem. Opuściłem dudy.

– Nie mogę cię niczego nauczyć – pokręcił głową. – Ale wiedziałeś o tym, zanim tu przyszedłeś, co? W tym hrabstwie nie ma absolutnie nikogo, kto mógłby cię czegoś nauczyć. Może nawet w tym stanie. Startujesz w konkursach?

– Przestałem w wakacje.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami. Jakoś nie miałem ochoty mówić.

– Dotarłem do szczytu, a potem zrobiło się nudno.

Bill pokręcił jeszcze raz głową. Przypatrywał się badawczo mojej twarzy, i mogłem się domyślić, co chodziło mu po głowie, bo oni zawsze tak myśleli: „Taki jesteś młody, a ja taki stary”.

– Skontaktuję się w takim razie ze szkołą. – Jego głos był bezbarwny. – Dam im znać, żeby coś wymyślili. Ale oni już musieli o tym wiedzieć, gdy cię przyjmowali.

Opuściłem nisko piszczałki.

– Tak.

– Powinieneś złożyć papiery do Carnegie Mellon. Tam mają program dla dudziarzy.

– Nigdy o tym nie pomyślałem.

– Powinieneś się nad tym zastanowić po tym, co tu pokazałeś. – Bill patrzył jak odkładam dudy. Nie zrozumiał mojego sarkazmu.

– Zmarnujesz się w zwykłym konserwatorium.

Pokiwałem głową w zamyśleniu, pozwoliłem mu zrobić jeszcze parę mniej głupich uwag, po czym ucisnąłem mu dłoń i opuściłem

pokój. Czułem się rozczarowany, chociaż nie miałem żadnego powodu. Dostałem dokładnie to, czego się spodziewałem.



Kiedy wyszedłem ze sklepu muzycznego, zobaczyłem na krawężniku dziewczynę. Miałem parszywy nastrój, więc pewnie nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie siedziała dosłownie kilka centymetrów od mojego auta. Mimo że była odwrócona plecami, wiało od niej znudzeniem.

Odłożyłem dudy na tylne siedzenie, hałasując i szurając. Sądziłem, że za chwilę coś do niej dotrze. W końcu, przejadę ją, jeśli się nie ruszy ze swojego miejsca.

Ale ona nawet nie drgnęła, kiedy hałasowałem, więc okrążyłem samochód i stanąłem przed nią. Ciągle siedziała bez ruchu z uniesioną brodą; oczy miała zamknięte, by nie patrzeć na popołudniowe słońce. Udawała, że mnie nie zauważa.

Może uczęszczała wraz ze mną na jakieś zajęcia, i moim zadaniem było ją rozpoznać. Jeśli nawet chodziła do szkoły, to na pewno nie była ubrana regulaminowo – miała na sobie bardzo obcisłą bluzkę z drukowanym wzorem ukośnego tekstu i dzinsowe dzwony. Spod nogawek wystawały olbrzymie buciory na platformach.

Miała bardzo charakterystyczną fryzurę: jej jakby pomięte jasne, może lekko kędzierzawe włosy z przodu były dłuższe, a z tyłu obcięte na krótko.

– Moja droga – powiedziałem czułym tonem – twoja pupa blokuje mi zderzak. Czy mogłabyś poleniuchować parę stóp na południe i pozwolić mi odjechać?

Jej oczy otworzyły się.

SPODOBAŁ CI SIĘ FRAGMENT,  
KTÓRY PRZECZYTAŁEŚ?

ZAMÓW KSIĄŻKĘ

# BALLADA

na

[www.CzaryMary.pl](http://www.CzaryMary.pl)

[www.TaniaKsiazka.pl](http://www.TaniaKsiazka.pl)



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

<https://www.facebook.com/illuminatiopl>

Wydawnictwo Illuminatio



[www.illuminatio.pl](http://www.illuminatio.pl)